Nr. 3 | Należyt. poczt. opł. ryczałt. | We Lwowie, 1 lutego 1931 | Rok 53

ŁOWIEC

WYCHODZI 1 i 16 KAŻDEGO MIESIĄCA

Do członków! Kwartalna wkładka dla członków wynosi 9·— złp.

Prenumerata kwartalna wynosi 4 zł. — Cena pojedynczego numeru 1 zł. Ceny ogłoszeń: cała strona 200 zł., 1/2 str. 100 zł 1/4 str. 50 zł., 1/8 str. 25. zł., 1/16 str. 12·50 zł. — Ogłoszenia na pierwszej stronie o 50% drożej. Drobne ogłoszenia 30 gr. słowo.

Redakcja i Administracja: Lwów, ul. Ossolińskich 11, III p, (Małopolskie Towarzystwo Łowieckie) — godz. biurowe od 10 do 13 i od 17 do 19. — Redaktor przyjmuje strony w biurze Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego we wtorki i piątki o godz. 12-tej
Redakcja nie zwraca rękopisow już drukowanych i zastrzega sobie konieczne zmiany i skróty
Adres telegramów: „Łowiec", Ossolińskich 11. — P. K. O. Konto Nr. 145.839. — Telefon Nr. 18-59.

Czasy ochrony zwierzyny (Art. 48 i 49) **dla Małopolski.** Ciemne pola oznaczają czas ochrony.

Rodzaj zwierzyny	Styczeń	Luty	Marzec	Kwiecień	Maj	Czerwiec	Lipiec	Sierpień	Wrzesień	Październ.	Listopad	Grudzień
Jelenie - byki, daniele - rogacze	■	■	■	■	■	■	■	■			■	■
Sarny - kozły		■	■	▌20								
Zające - szaraki		■	■	■	■	■	■	■	■			
Borsuki	■	■	■	■	■	■	■	■				■
Wiewiórki *)			■	■	■	■	■	■	■	■		
Głuszce - koguty	■	■	▌15		15▌	■	■	■	■	■	■	■
Cietrzewie - koguty						■	■	▌15				
Jarząbki		■	■	■	■	■	■	▌15				
Bażanty - koguty		■	■	■	■	■	■	■				
Kuropatwy	■	■	■	■	■	■	■	■				■
Przepiórki	■	■	■	■	■	■	■	■				
Słonki					15▌	■	■	▌15				
Bataljony						■	▌10					
Dzikie kaczory						■	▌10					
Dzikie kaczki (samice i młode) oraz inne ptactwo wodne i błotne			■	■	■	■	▌10					

Rodzaj zwierzyny	Styczeń	Luty	Marzec	Kwiecień	Maj	Czerwiec	Lipiec	Sierpień	Wrzesień	Październ.	Listopad	Grudzień
Dzikie łabędzie i dzikie gęsi					15▌	■	■					
Dropie*), dropie kamionki (strepety), dzikie gołębie, drozdy, kwiczoły, paszkoty		■	■	■	■	■	■	▌15				
Ptaki krukowate i drapieżne z wyjątkiem jastrzębi gołębiarzy, krogulców, wron i srok		■	■	■	■	■	■	▌15				
Żubry, bobry, kozice, świstaki, samice i cielęta: łosia, jelenia, daniela, sarny-kozy i koźlęta, niedźwiedzice od niedźwiątek, głuszce-kury, bażanty-kury, czarne bociany oraz w województwach: pomorskiem, poznańskiem, warszawskiem, łódzkiem, kieleckiem, lubelskiem, krakowskiem, lwowskiem, tarnopolskiem i stanisławowskiem cietrzewie-kury	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■

*) Na mocy dodatkowego rozporządzenia Min. rol. ochrona przez cały rok do odwołania.

Kalendarz ten nie obejmuje czasowych rozporządzeń Województw małopolskich, tyczących przedłużeń czasu ochrony pewnych gatunków zwierzyny łownej.

TREŚĆ NUMERU 3:

Nr. 3 We Lwowie, 1 lutego 1931 Rok 53

ŁOWIEC

ORGAN MAŁOPOLSKIEGO TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO



Aleksander Tur Przedrzymirski

ziemianin, długoletni członek i delegat M. T. Ł., zmarł dnia 24 stycznia 1931 r. w Pantalowicach, przeżywszy lat 65.

Śmierć zaiste obfite zbiera plony w ostatnich czasach wśród szeregów naszej Braci myśliwskiej! Nie ma numeru „Łowca“, bez nekrologu, bez pośmiertnego komuś wspomnienia, a szpalty jego od czarnych roją się krzyżyków! I znów twardy obowiązek każe mi rzucić kilka serdecznych słów pożegnania, tem boleśniejszy, że dotyczą one pamięci jednego z najzasłużeńszych członków naszego Towarzystwa.

Odszedł niewątpliwie jeden z Wielkich naszego Zakonu.

Bo jeżeli łowiectwo w najszlachetniejszem znaczeniu jest sztuką, to Zmarły tej sztuki niezawodnie był mistrzem.

Przedewszystkiem był on wielkim znawcą fauny całego świata, badaczem niestrudzonym i miłośnikiem wielkim swoistej przyrody, specjalnym znawcą ptaków krajowych, a nadto łączył swą wiedzę przyrodniczą z zdolnościami preparatora. Jego ręką zebrany i stworzony zbiór ptaków krajowych, w latach wojennych zniszczony a później znów regenerowany i ciągle uzupełniany, posiada wiele rzadkich egzemplarzy, a przedewszystkiem odznacza się wiernem oddaniem rzeczywistości. W spreparowanym przez Niego ptaku nie ma nigdy najmniejszego błędu w formie i linji.

Był znakomitym strzelcem, znakomitym łowcem, wielkim znawcą sztuki myśliwskiej, posiadał wielce rozwinięty, tak myśliwemu i przyrodnikowi potrzebny zmysł obserwacyjny, dzięki któremu zauważył zawsze każdy, najmniejszy szczegół, ślad, z których wysnuwać umiał konkretne dane co do zachowania się i bytowania zwierzyny. Dzięki temu znakomitym był tropicielem. — W najtrudniejszych nieraz warunkach, w łowach na dziki, gdy najlepsi fachowi tropiciele nie mogli sprostać zadaniu, On zawsze łatwo i nieomylnie rozstrzygał zawiłą sprawę.

Człowiek wszechstronnie wykształcony, o wybitnej, niepowszedniej inteligencji, władał znakomicie piórem. Jego prace i notatki umieszczane przez kilka dziesiątek lat w „Łowcu“, dałyby się zebrać w gruby tom interesujących spostrzeżeń przyrodniczych i studjów obyczajowych naszego małopolskiego społeczeństwa łowieckiego. Do takich np. należy ostatnia Jego dłuższa praca, drukowana w szeregu numerów zeszłorocznego „Łowca“ p. t. „Po śladach Legendy“.

Zmarły odejściem swem z pod ziemskiego sztandaru Św. Huberta pozostawia po Sobie w szeregach naszych lukę, która długo pustką świecić będzie musiała. Towa-

rzystwo nasze traci w Nim wiernego przyjaciela i czynnego delegata, „Łowiec", znakomitego i światłego współpracownika.

Jako człowiek — o czystej jak dziewiczy śnieg duszy, jako towarzysz — najmilszy, jako przyjaciel — najwierniejszy, pozostawia po sobie najlepszą — długotrwałą pamięć.

Małopolskie Towarzystwo Łowieckie i Redakcja „Łowca" rzuca Ci tych słów ciepłych pożegnania wiązankę — ja, Przyjacielu drogi, Towarzyszu niezrównany z lat dzieciństwa i młodości, Druhu i Nauczycielu z kniej i pól, kładę na wieku Twej trumny łzą mą serdeczną zwilżoną ziemi grudkę, z westchnieniem z głębi zbolałej idącem duszy:

Wieczny odpoczynek racz Mu dać Panie, a światłość wiekuista niech Mu świeci po wieki wieków!

Cześć Jego pamięci!

A. M.



ANTONI PISULIŃSKI

Obrazki z życia egzotycznych zwierząt łownych

(Wschodnio-środkowa Afryka)

IV

Antylopy krowie i zebry (Ngondo na Mbidzi)

(Ciąg dalszy)

Czem się właściwie żywią — jest również zagadkowe, a chociaż taka powaga na polu łowiectwa egzotycznego, jak p. Selous, twierdzi, że jedynem ich pożywieniem są trawy, ja jednak — na podstawie moich spostrzeżeń, nie mógłbym tego przyjąć za pewnik. Spotykałem te zwierzęta na terenach tak wysuszonych i przez pożary z wszelkich roślin trawiastych oczyszczonych, że odnalezienie tam źdźbła trawy, mającej jeszcze jaką wartość odżywczą, byłoby przedsięwzięciem zbyt trudnem. Tymczasem ubite w tych miejscowościach „Ngondo" były w doskonałym stanie, a nawet tłuste, z czego musiałem wywnioskować, że żywią się także pąkami i młodemi odroślami drzew i krzewów, coby odpowiadało zapatrywaniu kafrów, twierdzących, że tym antylopom wystarczają patyki; aby były tłuste.

W biegu są rzeczywiście bardzo chyże, mimo pozornej swej ociężałości. Posługują się przeważnie krótkim galopem o powolnem tempie, ale o bardzo wydatnej rozpiętości skoku. Patrząc na umykające w ten sposób zwierzę — odbiera się wrażenie, że podrzuca je w górę jakaś niewidzialna sprężyna. Nie widać ani pośpiechu, ani wytężenia; trzymają się prosto a padają na pięty. To też przy tropieniu zaraz wpada w oczy ten ostatni szczegół,

WITOLD HUSAR

Kły „Samsona"

Z nad łąk bielejących powłóczystym oparem mgły wstawał świt różany. Podnosił się gdzieś w niedościgłej, łudzącej rozkoszą koloru zaziemskiej dali, rumieńcem jutrzni zalewając szmat nieba; perlił się w połyskujących bujnych kroplach rosy, gęsto osiadłej na kiściach wiotkich trzcin, ukazywał z pod płaszcza nocy czarną nieruchomą ścianę boru. W samym borze borykać się jeszcze miał z mrokami ustępującej nocy, z odwiecznym ciężkim cieniem, kryjącym się zdradziecko pod kopułami jodeł i świerków, tajemniczym, nieruchomym... Dźwięczał w ostrym, przeczystym koncercie słowika, co przyjemnie zmącił uroczysty nastrój, podnosił się w niezrozumiałych, jakby tłumionych, szeptach, ledwie wyczutem trzaskaniu gałązek, w szmerach, idących kędyś z głębi niewidocznej gęstwi, w poruszaniu się czegoś pewnego, realnie istniejącego, a niewidzialnego. W szeptach nocy, zrodzonych kędyś w ostępach dzikich, płynął na bezmiary łąk, przedzierał się przez zwały mgły, opadającej powoli, ciężko...

Weszło słońce...

Miljardem strzał złocistych ślizgnęło się, przeszyło rzednący tuman i ozłociło ścianę boru, uwydatniając ostrość kryjących się, nieporuszonych cieni, miljardy kropel rosy niby miljardy łez na dostojnem, uśmiechniętem obliczu ziemi, zadrgały żywemi blaskami... Silniejszem tętnem pulsować zaczęło życie boru... Urok powoli znikał, jakby się krył wstydliwie za kurtyną nocy leśnej... Czary prysły...

...Od godziny blisko siedział zziębnięty, trzęsący się z zimna Ignaś na omszałym, wrośniętym w ziemię głazie, osłonięty tarczą zielonego jałowca od ścieżki „Samsona"... Widział ją w niewielkiej odległości porytą tu i ówdzie racicami, wymykającą się lękliwie i niepewnie z objęć kilku nieruchomych, niby w zadumie pogrążonych, świerków i biegnącą na skraj lasu.

Prawie od początku starał się naprózno skupić myśli: więc tędy przechodzi „Samson", tu po złodziejsku się skrada, dostaje się na skraj lasu i włazi w Mateuszowe ziemniaki... To ci musi być świniak!... I wodzi oczyma po brózdach ciągnących się na skraju lasu, a po chwili znowu bezwiednie, jak zamagnetyzowany, uporczywie

bowiem tył racicy zawsze jest głębiej wciśnięty na tropie, aniżeli przód, zaś oba szpice znacznie od siebie odchylone. Rysunek tropu nawet przy powolnym chodzie wykazuje to rozchylenie, przedstawiając nam, dwa podługowate czółenka, stykające się z sobą szerszemi końcami. Podobny trop ma także antylopa końska (Hippotragus niger), co przypisać należy podobnemu sposobowi galopowania.

Ponieważ często w okolicach podgórskich spotkać można i „Ngondo" — i antylopę końską (Pala-pala) — rozpoznanie tropu — gdy się pokrzyżują — staje się nawet dla doświadczonego myśliwego-tubylca, bardzo trudne, tembardziej, że obie antylopy są prawie równej statury i posiadają racice jednakowej wielkości.

Bliższych danych co do sposobu życia uzyskać nie łatwo, nawet przy bardzo długim pobycie w jej ojczyźnie. Czarni również nie wiele o niej potrafią powiedzieć, chociaż stale tam żyją i na nie polują.

Powodem tego jest jej ruchliwość. Nie wiąże jej — jak już wspomniałem — ani ściśle określony rejon ani też szczególnie ulubione miejsca postoju; nie ma również, jak wiele innych antylop — stałych swoich ścieżyn do żerowisk lub wodopojów. Żeruje — jakby się zdawało przygodnie, a może nocą; nigdy też nie zdarzyło mi się zaobserwować tych zwierząt spokojnie się pasących. Już w tych kardynalnych nakazach życiowych kieruje niemi jakaś — nieuchwytna dla człowieka — fantazja. A fantazja ta musi być bardzo rozwichrzona, skoro kafrzy uważają ją — tak samo jak nosorożca — za „zbzikowaną" (amsala).

Czy tylko wobec człowieka, który jako niedyskretny intruz wchodzi jej w drogę, zachowuje się często wprost niesamowicie — trudno rozstrzygnąć, że jednak coś jest z nią w nieporządku — zaprzeczyć się nie da.

Jej dziwaczne podskoki, przypominające igraszki młodych koźląt, wybijanie hołubców przy częstem parskaniu, a wreszcie wybieganie daleko poza stado z pominięciem wszelkiej zwierzęcej ostrożności, musi zastanowić. Nieraz rozpęd w kierunku obserwującego ją człowieka jest tak gwałtowny, że możnaby sądzić, jakoby to zwie-



„Ngondo" — Bubalis Lichtensteini — krowa

patrzy przez ramę kilku drzew, na przeciwległy brzeg łąki, przecięty wąską, ciemną linją... Linja nieruchoma, a przysiągłbyś, że ruszająca się... Ignaś wiedział, że to bolszewickie okopy, bo cóż w tem dziwnego, wszak nawet chodził patrzeć, jak żołnierze tę krętą, wężową norę kopali... Słyszał, jak we wsi mówili, że z niej strzelać będą gromadnie, widział, jak tam ustawiali karabiny maszynowe, armaty zataczali, a wszystko szybko i niespokojnie... Później znowu głowę odwracał i w gąszcz patrzał, skąd wybiegała ścieżka, „Samsona", jakby przeniknąć chciał, co w tej chwili poza ciemno-zieloną ścianą świerków się kryje. A jednak nie myślał w tej chwili ani o okopach, ani gwałtownej krzątaninie bolszewików, ani nawet o „Samsonie", choć nieprzestawał z uporem patrzeć na nagły zakręt ścieżki; myślał o tem, co się stanie, gdy „tawariszcz" Nikita Gregorjewicz Skotkin zauważy w izbie brak karabinu i narobi wielkiego hałasu... Czy przypomni wtedy jego, Ignasia, czy nie? A może szukać będzie? O, wtenczas to i Antek Mateuszów i Pokurczów Jędrek zaraz się dorozumieją, że przegrali zakład; ani chybi przegrają... Same są, a nie ja, bojaźliwe durnie... Zmęczony nużącem oczekiwaniem cofnął się za omszały głaz, na którym siedział, przykucnął w miękkim mchu i lufę karabinu wsparł o widełki gałązek jałowca; czekał...

Całym wysiłkiem woli zmuszał się do porzucenia myśli o bolszewiku Nikicie, który zapewnie wbrew jego niespokojnym przypuszczeniom chrapał przeraźliwie w stodole i ani myślał o wstawaniu. Ścisnął mocniej karabin. Ujrzał wyobraźnią „Samsona", kroczącego w Mateuszowe ziemniaki powoli, spacerkiem, jak ekonomowie z folwarku w niedzielę do kościoła... Idzie... Tuch... tuch!.. ino kły białe pobłyskują...

Nagle zamarł w bezruchu i poczuł wewnątrz piersi coś, jak przesunięcie zimnej lodowatej ręki: wyraźnie usłyszał w pobliżu trzask... O, już... już, raz... dwa, gdzieś za zakrętem ścieżki... Oho, znowu... I...

W głuchej ciszy, najmniejszym nie przerwanej szelestem, słyszał przyśpieszony rytm uderzeń serca i mimowoli uczuł, jak mu krew z twarzy uciekła.

I znowu chwile długie, monotonne wleką się, mijają bez końca...

Nowy trzask pękniętej suchej gałązki, bliższy, jak się Ignasiowi wydało... Z dziwnym chłodem i spokojem wziął na oko zakręt ścieżki, widniejący jako ciemna pla-

rzę miało jak najgorsze wobec niego zamiary. Jeszcze bardziej wprowadza obserwatora w zdumienie następujący potem nagły zwrot w tył i ucieczka do stada — które zdala temu się przygląda, aby po chwili zacząć te same harce w nowem wydaniu.

Już pierwsze moje spotkanie z temi antylopami, które dotychczas tylko z opowiadań tubylców znałem — podnieciło moją ciekawość do bliższego zaznajomienia się z niemi. Spotkanie to sprawiło mi wówczas nie tylko wielką niespodziankę, gdyż w tych okolicach nikt przedtem antylop krowich nie widywał, ale także dało mi nie byle jaką zagadkę do rozwiązania, coby oznaczało słowo kaferskie „amsala“ w odniesieniu do zwierząt, które wówczas również po raz pierwszy słyszałem*).

Było to podczas drogi w ciemną noc. Wracaliśmy z dalekiej wycieczki w pagórkowatą, rzadko zalesioną okolicę. Ścieżka, która nas wiodła ku domowi — wąska i kręta, często się gubiła pośród niewysokich, ale gęstych traw. Tylko oko i instynkt kafra mogły decydować, w jakim kierunku idziemy; ja byłem tu wprost bezradny.

Gdyśmy zeszli w dolinę, znaleźliśmy się w jeszcze bujniejszych zaroślach. Przodem szedł jeden z chłopaków miejscowych z bronią, potem ja, za mną drugi chłopak z ubitemi w czasie wycieczki pentarkami.

W tej gęstwie zbitej i wysokiej była już ciemnica — dla mnie przynajmniej — nieprzenikniona. Dotykałem od czasu do czasu pleców przewodnika, aby się przekonać, czy idę dobrze.

Zaledwie uszliśmy tym tunelem kilkadziesiąt kroków, gdy czuję, że mego przewodnika zgubiłem.

*) amsala (kafr.) = pomylony, warjat.

Krzyknąłem na niego, aby się odezwał, — a gdy mi odpowiedział — usłyszałem równocześnie szelest i poruszenie w trawach przed nami.

Zrazu myślałem, że to on — przewodnik, narobił tyle hałasu, przedzierając się przez trawy. Ale on był już przy mnie — a hałas nie tylko nie ustawał, ale jeszcze się wzmagał.

Staliśmy teraz zbici w kupkę — wystraszeni.

A tu coś wali na nas całą falą — jakieś stado wielkich bydląt.

— „Niama“* szepce jeden i drugi...

— Dobrze — ale co to za „niama“, która nie ustępuje nam z drogi, ale zbliża się — wprawdzie już wolniej — ale wprost ku nam?

Przyjemnie nie jest, ale co począć?...

— Cofnąć się?... na nic, wszak na tę samą ścieżkę powrócić musimy, aby nie zbłądzić w tej ciemnicy; — strzelić na postrach?... wstyd mi się przyznać do tchórzostwa przed murzynami... Zresztą rozważam: słonie na pewne nie, nosorożce? te nie chodzą kupą, — bawołów w tych stronach niema... Jeśli są tam przed nami jakie większe zwierzęta, to albo antylopy, albo zebry, a te przecież bez prowokacji człowieka nie atakują...

Tymczasem tłumienie się po trawach nie ustaje. Mimo, że nie zachowujemy się cicho — a chłopacy coś ze sobą rozprawiają na temat tej zwierzyny, która ich zdaniem musi być „amsala“ — ta „niama“ zbliża się.

Kręcą się dokoła — są już tuż; — może dziesięć, osiem kroków, albo bliżej.

Co ja wiem? nic nie widzę, ale chłopak, musiał coś spostrzec, bo woła głośno: strzelaj! — tu!.. tu!...

*) niama (kafr.) = mięso, zwierzyna.

---

ma pod kopułą świerku... Z pod przymkniętych powiek widział wysuwający się powoli gwizd, uszy, przednie nogi... Przystając co chwila i węsząc ryjem ścieżkę przebiegającą opodal stanowiska Ignasia, posuwał się potężny odyniec...

Ignaś, któremu jakaś niepojęta siła wróciła spokój, dławiąc wszelki odruch bojaźni, ze spokojem starego zbója przychylił twarz do zimnej kolby karabinu. Bez drgnienia powiek mierzył rozważnie, zimno prosto między uszy...

Huknął potężny strzał, strząsając z pobliskiej gałęzi kilka kropel rosy, spadłych na ręce chłopca... Ignaś zerwał się. Z urywanem rechotaniem trafionego „Samsona“ zmieszał się nagły odgłos zajadłej kanonady od strony okopów. Jakby na znak jego strzału, tysiąckrotne echa zlewające się w burzę piorunów, targnęły powietrzem nad niską krecią linją okopów. Raz wraz ciężki, głuchy grzmot dopełniał piekielnej kanonady salw karabinowych, terkotu karabinów maszynowych i pojedyńczych strzałów...

Ignaś blady z przerażenia, zostawiwszy karabin, wsparty lufą o krzak jałowca, skrył się u stóp wywrotu sosny. Dygotał, owładnięty uczuciem strachu. Po pewnej chwili wyjrzał za wywrot: ta sama drgająca, ruchliwa linja, kilka obłoczków dymu nad nią i nic więcej. Dopiero przyjrzawszy się lepiej, zauważył jeszcze coś... O kilka staj od okopu, bliżej wsi ukrytej za pierwszem wzgórzem, było inne wojsko; dziwne jakieś wojsko: rozwinęło się na płaszczyźnie łąki, rozsypało się, przypłaszczyło do ziemi i strzelając zawzięcie, powoli, ale krok za krokiem posuwało się naprzód...

— „Polskie żołnierze“ — szepnął.

Cofnął się i długo jeszcze siedział za wykrotem. — Wkońcu przeżegnał się, jeszcze raz wyjrzał za wywrot i pełzać zaczął we mchu w kierunku nieruchomego cielska odyńca. Drżącą ręką wydobył kozik i wyciąwszy po półgodzinnym trudzie kły dzika, chyłkiem wrócił na dawne stanowisko. Stąd pochylony, brzegiem lasu puścił się biegiem do wsi. Nie dbał o swój prawdziwie przerażający wygląd: z twarzą podrapaną, rękami umazanemi w posoce dzika gnał zadyszany z całych sił przed siebie, potykając się i kalecząc bose nogi. W tym szalonym biegu raz wraz odwracał ukradkiem głowę i patrzał w stronę, w której szalał huragan bojowy; to jednak, co tam

W mig się orjentuję: kula tu na nic, ale przewodnik ma kapslówkę, nabitą grubym śrutem... Wyrywam mu z rąk strzelbę i palę w kierunku słyszanych poruszeń.

Przywitane strasznym hukiem — ruszyły ciężkie jakieś czworonogi z kopyta. Poszły...

Oczyściwszy sobie w ten sposób drogę, podążyliśmy dalej, i w pół godziny później stanęliśmy w domu.

— — — — — — — — — — — — — —

W czasie drogi biłem się z myślami, cobyto za zwierzyna była, która z takim uporem broniła nam przejścia przez dolinę; bo przecież i zwietrzyć nas mogła, a przedewszystkiem słyszeć — a nie uciekała?..

— — — — — — — — — — — — — —

Na drugi dzień przy śniadaniu miałem już raport od kucharza: były to „Ngondo" — antylopy krowie. Za jedną, ranioną, poszli moi towarzysze.

Po południu przyniesiono skórę, rogi i mięso z młodego byczka, którego znaleziono z postrzałem w szyję o kilka kilometrów od miejsca postrzału, — jeszcze żywego — i dobito siekierą.

W ten sposób przyszedłem w posiadanie pierwszej pary rogów antylopy krowiej, odmiany Bubalis Lichtensteini.

Drugi wypadek, który miał mię przekonać, że „Ngondo" — to „niama amsala" — zdarzył mi się na pograniczu kraju Angonich, w podgórskiej, strasznie wówczas posuchą i pożarami wyniszczonej okolicy, gdzie o wodę było bardzo trudno, a tem samem i o jakąkolwiek zwierzynę.

Teren był kamienisty, a nigdzie krzty cienia, mimo licznych drzew i krzewów — niestety bezlistnych.

W czasie pochodu, gdy upadając pod wpływem żaru słonecznego i pragnienia — a nie mieliśmy już wody od dwudziestu czterech godzin — wchodziliśmy na małą, kamienistą łysinę na wzgórku, stado ośmiu lub dziewięciu sztuk „Ngondo" — wybiegło z wąwozu.

Byłem na przodzie karawany; za mną w luźnej rozsypce trzydziestu kilku czarnych z tobołami.

Zwierzęta przystanęły; zbiwszy się w kupkę, pokręciły się trochę na miejscu, potem wolno iść zaczęły równolegle z nami.

Nie miałem zamiaru strzelać do nich, bo myśl moja zajęta była tylko jednem zagadnieniem: czy i kiedy znajdziemy wodę.

Gdy jednak zamiast oddalać się, coraz bardziej ku nam się zbliżały, a oddalenie wreszcie nie było większe jak kilkadziesiąt kroków — przystanąłem.

One również. Wpatrywały się głupowato w naszą stronę i jakby nam urągały.

Wstrzemięźliwość moja została zachwianą.

Biorę na cel pierwszą z brzegu — a stała doskonale — i strzelam w komorę.

Małe zamieszanie — ale nie uchodzą.

Cóż u djabła — myślę — pewnie spudłowałem...

Strzelam poraz drugi — znowu do najbliższej. Znowu to samo.

Murzyni gadają — ja ładuję nowy nabój do lufy — antylopy kręcą się na miejscu...

— Pewnie ta czarna hałastra, co się wczoraj buntowała — śmieje się teraz z moich klasycznych pudeł — przechodzi mi przez głowę myśl, drażniąc moją ambicję strzelca...

Więc strzelam po raz trzeci, bo mam znowu strzał doskonały. Gdy tym razem sztuka strzelona zaznaczyła postrzał, zatoczywszy się jak pijana — zaś druga — z pierwszego, czy drugiego strzału — runęła na ziemię —

---

widział, nie powiększało bynajmniej jego trwogi: nad linją okopów wykwitały w dalszym ciągu białe obłoczki dymu, zlewające się wyżej w mglistą zasłonę, przed okopami zaś, w niewielkiem już od nich oddaleniu, posuwała się owa błyszcząca zdala ostrzami bagnetów, rozsypana masa żołnierzy... Od upamiętania go jedynie odwodził i przynaglał do biegu ów coraz częstszy, głuchy huk, jak potężne uderzenie pioruna, idące kędyś z podziemi...

Wreszcie zziajany wpadł w podwórko.

Zatrzymał się zdziwiony, widząc gromadki wieśniaków, chyłkiem przemykających się do chaty. W tej chwili na próg jej wyszedł Mateusz, sąsiad. Ujrzawszy chłopca, przystanął i głowę na dół zwiesił. Nie podnosząc głowy, odezwał się dobrotliwie, ale drżącym głosem:

— „Ignasiu, a gdzieżeś zapodział oną fuzję przeklętą? Aj, Ignasiu, dziecko"...

Chłopiec drgnął. Myśl jego przeszyło straszne przypuszczenie.

Bez odpowiedzi rzucił się do drzwi. W sieni panował tłok, nim przedarł się przezeń, usłyszał, jak okropne i celne uderzenie obuchem, wyrwane z ogólnego opowiadania słowa:

...„to mówię wam: wściekł się... Gdzie „rużje? — ryknął, i schwyciwszy motykę, co wedle drzwi"...

Obłąkany z bólu, wydając z chłopięcej piersi przeraźliwy jęk, wpadł do izby.

W ciemnym kącie na zapiecku leżała skulona postać kobiety.

— „Matulu! — krzyknął od proga — matulu!!" Dopadł leżącej i rzucił się na kolana, nie przestając jęczeć...

Nagle wstał, zamilkł i dotknął ręką czoła leżącej: palce natrafiły na głęboką, wilgotną szramę na skroni i skrzepłą krew...

— „To ja, matulu"... — jęknął.

— „Matulu, to ja!!!" — wrzasnął straszliwie, przejmująco i runął u nóg matki, uderzając z głuchym łoskotem głową o twardą ziemię... Od strony lasu doleciało gromkie, potężne: hurra! i wzmożony odgłos wystrzałów.



ruszyły z miejsca. Ustępywały zwolna, ciągle się oglądając — jakby im żal było opuścić pozostałą towarzyszkę. Dopiero gdy murzyni z krzykiem rzucili się do zabitej — umknęły.

Kiedy przedostawały się przez głęboki parów, aby się wedrzeć na sąsiedni pagórek — padła druga sztuka, a wnet później trzecia, już na szczycie wzniesienia.

Mimo woli i bez zamiaru ubiłem aż trzy sztuki tych zwierząt, zdezorjentowany ich dziwnem zachowaniem się, — nie potrzebowałem bowiem tyle mięsa; połowa też poszła na marne, jak i rogi, które nawet dla mnie w tej chwili — nie przedstawiały żadnej wartości.

Wobec braku wody, która w następnym dniu mogła zadecydować o naszem życiu lub śmierci, jakże marnemi były te trofea myśliwskie! Jak nic nie znaczącym ochłapem były one w oczach czarnych, gdy tyle mięsa pozostawić musieli! — Nie miałem odwagi, aby im przypomnąć, że należałoby je obciąć i zabrać — jak to zwykle czynili; — nie! — nie mogłem tego od nich żądać w tak tragicznej chwili; przeczuwałem, że i te ćwiartki, co ze sobą powloką, rzucą gdzie w krzakach po godzinie lub dwóch marszu, jeśli nadzieja znalezienia wody w tym czasie nam nie błyśnie...

. . . .

Zatarły się już trochę wrażenia spotkań z „niesamowitemi" antylopami krowiemi, które jakoby same przychodziły na strzał — gdy oto znowu „Ngondo amsala" staje na mej drodze.

Było to w dwa lata po opisanym wyżej wypadku. Polowałem wówczas na stepach środkowej Sziry — na tzw. Elephantmarshes — a mając na oku słonie, za któremi szmat kraju bezowocnie przewędrowałem — nie strzelałem do innej zwierzyny, jak tylko wtedy, gdy nam mięsa zabrakło.

(C. d. n.)



Pamięci

Antoniego hr. Wodzickiego

Wielkiego ojca — nieodrodny syn
Kochał nasz zakon — łowiectwa był wzorem,
Knieje Lisowic — On stroił w wawrzyny,
Bo kochał swój zawód — ksiągi kronik szare,
Wpisując w nie co dzień, wszelkie nasze czyny!
A praca Jego, nie poszła na marne,
Bo serca nasze — niczem nicią złotą,
Opsządł na zawsze — tą swoją prostotą,
Szczerą przyjaźnią, werwą i humorem,
Wielkiego ojca — nieodrodny syn!...
W złocistej jesieni przedziwne wieczory,
Hymn niby królewski płynie przez te bory,
A srebrne buki — dumnie jakoś szumią
Baśń o Wodzickich... buki dębom mówią
To imię z knieją na zawsze złączone
I w sercach naszych głęboko ukryte;
Jak tamto — czyste, niczem nie splamione,
W pamięci naszej głęboko wyryte:
Wodzicki Antoni — Kazimierza syn!...

Juljusz Borkowski



FRANTZ MUNCH ROSENBERG

Łowy na grubego zwierza

(Tłum. z ang. A. M.)

(Ciąg dalszy)

Las w Storaasen. Siła śmiercionośnych strzałów z nowoczesnych małych kalibrów. Trzy zabite łosie.

Znalazłem w jego cielsku trzy kule: jedna przeszyła mu serce, druga — ugrzęzła w karku, a trzecia — w grzbiecie; czwartej zaś kuli nigdzie nie było, co znaczyło, że chybiłem, mierząc za wysoko.

Wypatroszyliśmy zaraz tego łosia, a Lorents nauczył mnie, jakim sposobem odejmuje się mostek od żeber zwykłym nożem, gdyż połączone są z sobą tylko zapomocą ledwie chrząstki. Ten mostek łosia, albo jak go także zwiemy „bringkollen" stanowi właśnie główny element ten sławnej zupy p. Schultza.

Jezioro Seisjoen posiada tę wielką zaletę, że nadaje się wyśmienicie do łowienia w niem ryb nawet bardzo późną porą; po pierwszych zaś śniegach łowią się tu pstrągi na przynętę przyrządzoną z wydry. Tak, przyznać muszę, że od czasu do czasu, uprawiam ten sport,

który wcale mężczyźnie nie przynosi zaszczytu; jedynie to jednak robiłem w tym celu, aby zmienić nasze jednostajne wciąż „menu".

W górskich jeziorach, gdzie niema wcale łódek, wiele wydr gnieździ się tu po brzegach; pstrągi zaś daleko się lepiej łapią na nie, niżeli na zwykłe przynęty.

Mieliśmy z sobą także całe przyrządy sieci i w ciągu jednej tylko nocy ułowiliśmy 20 pięknych pstrągów. — Udawało mi się jednak nieraz, gdy powracałem nad wieczorem z łowów, obchodząc kilkakrotnie jezioro, złowić na przynętę z wydry 3 lub 4 ładne ryby. Śliczne te tłuste pstrągi górskie wyśmienitą są odmianą w jednostajnem pożywieniu łosiowem tylko mięsiwem!

Chcąc wykorzystać dostatecznie obszerne moje terytorjum łowieckie, pewnego dnia, gdy niebo było jasne i czyste, poleciłem Andreasowi przewieść nas łódką na wschodni brzeg jeziora, skąd płynęliśmy małym strumykiem, wychodzącym z górskiego jeziorka Fiskelosa. Dzień był cudowny! Ogromne błotniska i zadrzewione szczyty gór roztaczały się wokoło przepysznym jesiennym kolorytem, a nieprzeliczone krople rosy rozbłyskiwały w tysiącznych iskierkach rannego słońca. Znajdowaliśmy się w granicznym lesie, gdyż boczne jego skłony zniżały się już do Szwecji.

Nie było tu nigdzie tropów łosi, ale, jakeśmy się tego spodziewali, wszędzie znajdywaliśmy tropy reniferów! Wspaniała się przedstawiała nam z miejsca tego panorama: prosto przed nami ogromne jezioro Jaevsjoen między dwoma górami Holdershatten i Jaevsjoen; skręcało się zaś ono dalej na zachód u stóp szczytów Bjorkvashatten, Midtklumpen i Allegaisa. Wiele bardzo nazw lapońskich spotyka się tu, a zwłaszcza po drugiej stronie jeziora, na szwedzkiej granicy.

Na wschodnim brzegu jeziora Jaevsjoen, gdzie się znajduje ferma tej samej nazwy, widniał wspaniały, głęboki las; lecz po przeciwnej stronie, norweskiej, rozciągała się głucha płaszczyzna górska, cała pokryta jeziorami, hen, jak okiem sięgnąć! W oddali znów na południu, wysuwał się szczyt górski śniegiem pokryty, zwany Skjaekerhatten, dokąd udało się nam, wiele lat temu, dojść z Lorentsem na „ski".

Gdzieniegdzie widzieliśmy głuszce w niewielkiej ilości, lecz marzenie moje spotkania się tu właśnie z temi olbrzymiemi łosiami — spełzło na niczem!

Stanęliśmy na wschodnim grzbiebie góry Gauptjernakslen; silny wiatr dął ze wschodu, zdecydowaliśmy więc udać się na odkrytą płaszczyznę do jeziora Gauptjern, a dopiero stamtąd w powrocie do leśniczówki zapolować w zupełnej już dolinie.

Około 5-tej popołudniu dotarliśmy do Gauptjern, która leży na samym skraju szerokiej otwartej płaszczyzny, na południu od jeziora Andor, w samym środku uprzywilejowanego terenu łosi. W drodze tej spotkaliśmy stadko swojskich reniferów, między któremi znajdował się jeden, potężny samiec, urządzający sobie polowanie na łanie, donośnie chrząkając. Nawet tu, nie mogliśmy być wolni od tych przeklętych zwierząt.

Gdyśmy schodzili coraz to niżej w błotniste okolice, psy zaczęły się raptownie szarpać w przeciwną stronę, i zapewne mogły to być znowu renifery, jednak zaciekawiło to nas wielce.

Po chwili znaleźliśmy, idąc za psami, świeże tropy łosi, nie mając więc już żadnej wątpliwości, postępowaliśmy ostrożnie naprzód; dostrzegliśmy wkrótce podwójne tropy, ale czy były one samic czy też samców — trudno określić; ponieważ zaś bez przerwy ciągnęły się naprzód, długośmy musieli postępować, zanim poznaliśmy z zachowania się psów naszych, że znajdujemy się w bliskości tych tak upragnionych zwierząt!

W końcu, przecinając otwartą polanę, Lorents dostrzegł łosia pomiędzy drzewami o jakie 300 yardów od nas. Popatrzywszy przez binokle przekonałem się, że jest to mały byk o dwóch tylko pasemkach na każdej łopacie, ale zważywszy, że mamy z sobą młodego psa potrzebującego treningu, postanowiłem zabić tego łosia.

Pozostawiłem więc tu Lorentsa z psami, a sam poczołgałem się o jakie jeszcze 100 yardów, i w chwili, gdy łoś zamierzał ratować się ucieczką, pośpiesznie wystrzeliłem, ale chybiłem, będąc już bardzo znużonym tak długim marszem. Byk umknął na wschód. Lorents nadbiegł z psami i puściliśmy się wszyscy w pogoń za zwierzem. Psy tak były strasznie podniecone, że w pędzie, szarpiąc się naprzód na smyczy, przewróciły Lorentsa i ciągnęły go tak za sobą!

Pościg ten nadzwyczajny trwał przez czas jakiś, i właśnie gdyśmy mijali kępę drzew, ujrzeliśmy dwa łosie na przeciwnej stronie jeziorka, odwrócone od nas. Zanim nas zobaczyły, wystrzeliłem i tym razem jeden z nich był trafiony, zdaje mi się, że ten sam właśnie, do którego wpierw chybiłem. Młody mój pies „Bjonn" sprawił się doskonale, co mię upewniło, że przy dalszej praktyce pies ten będzie świetnym do łowów na smyczy.

Kilkakrotnie w tym roku miałem sposobność spotkać się blisko z dużym łosiem — bykiem, ale, niestety, zauważyłem, że zawsze mijało mię szczęście, jakaś przeszkoda stawała mi na drodze do spełnienia się mych pragnień, tak, że zostało mi tylko tęskne „memento" wspaniałych jego szerokich i rozłożystych łopat, które później pozbierałem w okolicy, często przezemnie odwiedzanej.

(C. d. n.)





Stefan Baworowski

Młody adept łowiectwa — syn Hr. Jerzego i Katarzyny z Hr. Zamoyskich, zmarł dnia 12 stycznia 1931 — w 16-ej wiośnie życia.

„Nie nasza — ale Twoja — dziej się wola Panie“...
Dlaczego! — Ty młody — w życia zaraniu,
Odszedłeś od nas nagle — nasz Stefanie,
Jak jasna zorza, po nocy skonaniu...
Ale że nie moja, ale Boża wola niech się stanie,
Ja już nie pytam — a tylko: płaczę, po Tobie Stefanie!...
W dzikich ostępach — puszcz Bołożynowa
Prastare sosny — tak dziś dziwnie szumią,
Niby chóry anielskie — nucą jakieś słowa,
Że Twoja dusza, do nich przyleciała,
Taka niewinna — tak czysta i biała,
Że tylko w niebie, o tem dzisiaj mówią,
Że Bóg Cię zabrał, by Cię strzec od złego,
W Tobie Stefanie — mieć Anioła swego...
Że bedziesz tam chadzał w świetlanej obręczy,
Bo Ciebie nie skaził — jeszcze ziemski brud
I wrócisz do nas — na promieniu tęczy
I z nową wiosną — stanie się ten cud...
Że świetlanemi skrzydłami Anioła
Smutek i troski rozpędzisz nam z czoła,
Że na grobie Twoim — już najbliższą wiosną
Przedziwne jakieś — kwiaty wyrosną
Niby jak w raju . . . .
Więc choć wciąż mówię: Wola Twoja Panie!
Ja już nie płaczę — po Tobie Stefanie...

Lwów 15. 1. 1931.

Juljusz Borkowski



JAROSŁAW HUBÁLEK

BUREK

Autoryzowany przekład z czeskiego WŁ. KARNKOWSKIEGO

(Ciąg dalszy)

Siedział tu sobie nasz Burek pewnego słonecznego ranka, wodząc okiem po zaśnieżonych dolinach. Wtem spostrzegł, że z wioski wyruszyło kilkoro sań pełnych ludzi. Zastanowił się nad znaczeniem tego kuligu, tembardziej, że w saniach były też psy, a nawet jeden wydał mu się skądś znajomym... Czyżby to był przeklęty Wjas z leśniczówki, pierwszy wróg i prześladowca? Na tę myśl mimowolnie zjeżył sierść i błysnął białemi kłami. Ze zdwojoną uwagą śledził teraz ruchy ludzi. Wiatr był słaby, węch nie mówił jeszcze nic, natomiast gołem okiem widział Burek, że sanie zatrzymały się na szosie, a z pierwszych wyskoczyło kilku strzelców z psami. Nieliczne, ale zgrane towarzystwo: Wjas i koślawy jamnik Brok z leśniczówki, oraz biały z uciętym ogonkiem, ruchliwy jak żywe srebro foksik Raf ze swą towarzyszką życia Łowką.

Z następnych sani wysypało się około dziewięciu chłopaków, którzy pod kierownictwem gajowego z psami na smyczach obeszli miot, całe długie przeciwległe zbocze i na jego szczycie się rozstawili. Na drugiem zboczu stanęli myśliwi. Zauważył Burek, że stoją w równych od siebie odstępach. Jeden stanął na samym skraju halizny, drugi skrył się w pół wypróchniałym pniu starego buku, trzeci oczyszczał właśnie ze śniegu stanowisko za gęstym krzakiem tarniny. Leśniczy, wyznaczywszy stanowiska, ruszył dalej w górę aż na szczyt i tam zniknął w gęstwinie.

Rozległ się sygnał i naganka ruszyła w miot. Burek nie posiadał się z ciekawości, co to będzie. Sam kryty znakomicie, widział cały gon, jak na dłoni. Wtem na białem tle przeciwległego wzgórza zamajaczył ciemny punkcik i toczył się wprost na nagankę. Poznał starą znajomą liszkę. Nie czuł do niej żadnego sentymentu, chociaż nic mu złego nie zrobiła. Wietrzyk się nagle odwrócił, co w górach nie jest rzadkiem zjawiskiem, liszka poczuła bliskość naganki i zawróciła na miejscu. Po wczorajszej wieczornej uczcie z zajęczego czombra, zaspała fatalnie, teraz zaś może być źle, za późno na wyniesienie całej skóry z miotu. Burek widział dobrze, jak wolnym truchtem sznuruje prosto na strzelców. Na prawem skrzydle stał, raczej siedział na trójnóżku opasły pan radca. Czyżby go biedna liszka nie widziała? bo idzie wprost pod jego lufę. Szczęściem skrzypnął przeraźliwie „praktyczny“ trójnóżek pod stukilowym ciężarem pana radcy. Wystarczyło... Zwierz rzucił się błyskawicznie w bok, dopadł zagłębienia gruntu po starym potoczku i kryty niem, rwał w górę. Już był blisko szczytu, już zdawało się, że przemknie się bokiem naganki, gdy naraz — ciemne ciało pada w śnieg, a po chwili do uszu Burka dochodzi echo strzału. Miot się ożywił. Psy ruszyły trzy zające i idą śladami z jazgotem. Na rozkładzie: lis i dwa zające. Myśliwi schodzą ze stanowisk, pan radca stentorowym basem dowodzi, że umyślnie puścił lisa na sąsiada, szkoda tylko, że go ten prześlepił... jednem słowem łacina i tuszowanie własnego fuszerstwa, jak po każdem pędzeniu.

Krótka narada strzelców i nowy miot przyległy. Tego już Burek nie czekał. Wilczym kłusem wyniósł się z obieży i nim naganka ruszyła, już miejsce po nim wystygło. Gdyby mógł słyszeć, co między sobą myśliwi mówili oglądając świeży jego trop, przekonawszy się, że

przez całą godzinę spokojnie im się przyglądał, byłby się nie posiadał z radości.

VIII.

Bieda była Burkowi, póki śnieg wysoki nie tamował ruchów zwierzyny, to też z zapadłemi od głodu bokami, smutny błąkał się po zaroślach. Zwiedział się raz o pewnem stałem legowisku zająca. I gdy lisim sposobem, krok po kroku, skradał się do kotlinki, uderzyła o jego czuły nos, luba woń mięsiwa. Bierz licho zająca! Sprawdził kierunek, obszedł szerokiem kołem... nic podejrzanego! Opodal, coprawda, znalazł ślady sani z wołami, a w dodatku i ludzkie obok nich. Jednak nos upewnił go, że i sani i człowieka już niema w pobliżu.

Podkradł się więc bliżej i ujrzał na małej polance padłego konia, oprawionego ze skóry. Głowa wtył odrzucona, z pyska zwieszony zmarzły język, nogi z resztkami skóry, jak w skarpetkach, bezładnie rozkraczone na śniegu. Burek zamyślił się głęboko. Oczywiście konia przywieźli tu ludzie. Ale poco? Może na pokarm dla lisów i wilków? I odkąd dwunogi zrobił się tak hojny?...

Obszedł parę razy dokoła polankę i stwierdził, że coś jest w nieporządku w jednym jej końcu. Leżało tu sporo młodych drzewek i gałęzi, dziwnie jakoś porzuconych na gromadę. Z największą ostrożnością podszedł Burek bliżej i z niemałem zdumieniem odkrył podziemne wejście. Po prostu była to jama pokryta choiną i śniegiem. Z przodu otwór wprost na padlinę, z tyłu wejście! Raz jeszcze obwąchał uważnie wszystko, znalazł w jamie coś w rodzaju siedzenia, więc podniósł zadnią nogę i dał kolegom sygnał ostrzegawczy, że omijać mają zdradliwe miejsce.

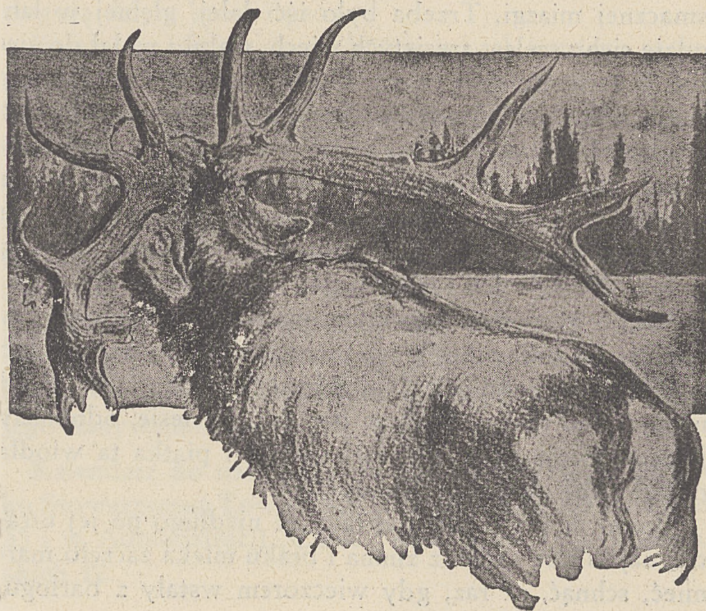
Kto go tego nauczył? Kto mu to doradził? Nikt — jeno instynkt, ten boski dar wszego na świecie stworzenia, o ile mu go nie wydarła cywilizacja. Bądźcie bowiem pewni, że po daniu wilczego sygnału, żaden wilk nie zbliży się do niepewnego miejsca — omijając je z mniejszej lub większej odległości zależnie od siły i kierunku wiatru. Burek odszedł jakie dwadzieścia kroków i jął rozważać wszystko. Mięso pachniało kusząco, a wnętrzności głód skręcał, z mordy ślina ciekła. Jest coś mocniejszego nad rozum... Podszedł do przynęty, raz jeszcze sprawdził, czy niema nic podejrzanego i jednem uderzeniem kłów otworzył brzuch koński. W jakim celu od tego zaczął? Możeby wam odpowiedział, że dla zabezpieczenia mięsa od zepsucia... I on i inne wilki idą tu za głosem instynktu. Niekiedy wilk powala ofiarę starczącą mu na kilka uczt, a wiemy wszyscy, że zwłaszcza w lecie mięso sztuki nie patroszonej i nie obciągniętej psuje się szybciej. A może wilk pożera, lecz nie gustuje w mięsie nieświeżem.

Po otwarciu brzucha nażarł się Burek do syta największego przysmaku wilczego: wątroby i płuc i z wypchanemi bokami skrył się w gąszcz na odpoczynek.

Nazajutrz wczesnym rankiem udał się leśny do przynęty, wczoraj bowiem z braku czasu, zastąpić się musiał parobkiem. Już w pewnej odległości od padliny spostrzegł krzyżujące się tropy wilcze, dowód oczywisty, że zwierz brał przynętę. Dobrze więc, że ma w plecaku żelaza. Założył je tuż przy jamie brzusznej padliny, wpierw dokładnie je odwietrzywszy, zasypał śniegiem, cofając się, zarównał gałązką własne ślady i był pewien, że zrobił wszystko, czego wymagała ludzka przezorność i łowieckie doświadczenie.

Tymczasem zaś Burek wyspał się kapitalnie, pełny żołądek grzał rozkosznie, dopiero po południu przetarł łapami zaspane oczy, przeciągnął się leniwie, nabrał wiatru w nozdrza i zatoczył szeroki krąg wywiadowczy dokoła przynęty. Trop leśnego, choć starannie zatarty, nie uszedł jego uwagi. Śnieg wprawdzie zmniejszył jego wypar, jak zmniejszył i podejrzliwość Burka. Nie dziwmy się! Wszak Burek był jeszcze niemal dzieckiem, co się tyczy łowów, ostrożności i wogóle życia. Jego krokami powinna była jeszcze kierować matka, czuwać nad nim i uczyć zakonu kniei. Lecz niedoświadczony młokos, zostawiony sam sobie, myślał tylko o uczcie wczorajszej, zapomniał o tropie ludzkim i podszedł na 3 kroki do przynęty. Leżała taksamo, jak wczoraj. Gdyby był zwrócił uwagę na liczne tropy lisów, które koło padliny krążyły, nie biorąc jej, gdyby się był choć trochę nad tem zastanowił, byłby niezawodnie podniósł zadnią nogę, przynętę pokropił i więcej do niej nie wrócił. Niestety! gdyby nie to „gdyby"! Burek zaś obwietrzył raz jeszcze wszystko. Hm! Co ten człowiek tu robił? Wyraźnie czuć jego zapach zmieszany z odrobiną zapachu żelaza, które znał dobrze z leśniczówki. Dla pewności obwąchał całego konia raz jeszcze, obszedłszy go wkoło. Szczęściem przybliżył się z boku do zdradzieckiej pułapki. Lewa noga przednia zrobiła krok o dziesięć centimetrów krótszy, pod nią poczuł w sypkim śniegu coś zimnego i twardego. Chciał ją podnieść, gdy nagle coś trzasło — żelaza, poruszone sprężyną, wyskoczyły w górę i lewy palec zewnętrzny z pazurem drugiego ścisnęły zdradzieckie kleszcze. Burek wystraszył się okrutnie. Konwulsyjnym skokiem wyrwał się z żelaznego uścisku, zostawiając w kleszczach palec z pazurem.

(C. d. n.)



Mozaika Dzicza

Dr. M. C.

„On"

Był ogromny i proporcjonalnie do tego nieuchwytny. Różnie i różni, powołani i niepowołani, silili się na to, by wypłoszyć z niego tę przepotężną siłę życia, która pozwoliła mu, mimo blisko pół-kilogramowej porcji ołowiu, jaką nosił w swem cielsku, — żyć

To słowo „żyć" nauczyło go wielu pożytecznych rzeczy, a przedewszystkiem tego, by nigdy nie popasać zbyt długo w jednem miejscu. Wiedział o tem doskonale, że jego dawna bogdanka, chociaż w sile wieku będąca, nie zostawi po sobie na czarnej stopie, takiego odcisku, jak on. Wiedział też dobrze, że następstwem tego będzie dokuczliwy jazgot psiej sfory, lub co gorsza, piekący ból błyskawicy strzału dany z ukrycia, zdradziecko, lub jawnie. Dlatego też nie potrafiły go zatrzymać na dłużej, niż dobę lub dwie, ni ciepłe oparzeliska Zapaczańskiej kniei, ni obfitość słodkiej bukwi hereściabowego ostępu, ni mnogość mrowisk Bramkowskiej świerczyny. W poszukiwaniu smakołyków takich, jak napół dojrzały owies, ziemniaki, udawał się nieraz bardzo daleko, hołdując zasadzie, że lepiej trzymać się podjazdowej walki z pilnującym swego dobytku człowiekiem, niż plądrując w jednem miejscu, ściągać na siebie zbyt pilną uwagę.

Pamiętał zbyt dobrze i żywo — mimo wielu zim przeżytych od owego czasu — śmierć swojej matki, kiedy był zaledwie kilkomiesięcznym warchlakiem. Pamiętał, jak w cichą księżycową letnią noc, wprowadziła jego i ośmioro wygłodniałego, jak on, rodzeństwa, — na pole owsa.

Szła bardzo ostrożnie, cicho chrząkając i kupiąc koło siebie, szeleszczący drobiazg. Stała długo na skraju gęstwiny, badając i wietrząc, aż pewna bezpieczeństwa swego i dzieci, — ruszyła w żer. Owies pod lasem, zacieniony zawsze, nie miał jeszcze swej słodkiej, tak smacznej miazgi. Trzeba było iść dalej, głębiej w łan, gdzie cichy szelest rzęsistych wiech wabił i wołał do siebie. Za chwilę ciszę nocy kłuciło wielogębne łakome ciamkanie. Nagle! mgławą poświatę księżycowej nocy rozdarła błyskawica, a tuż za nią wtargnął do uszu strwożonej watahy huk strzału. Zobaczył, jak matka nagle upadła na ziemię, on sam zaś, nie zdając sobie nawet sprawy z tego co czyni, instynktownie rzucił się z trwogą w las. Zbiegło ich razem troje. Długo wałęsały się tu i tam po gęstwinie, oczekując matki, nadsłuchując, czy gdzieś nie odezwie się jej pieszczotliwe rechtanie, lub ostrzegawcze fuknięcie. Napróżno! Nie zobaczyły jej już nigdy. Nad ranem, błądząc bez celu po lesie, odnalazły jeszcze dwoje ze swego rodzeństwa i piątka ta wiodła odtąd swój głodny i chłodny byt.

Skutek braku matki był taki, że niedługo po jej utracie, najsłabsze z nich z zimna i braku mleka zaczęło marnieć, schnąć, aż raz, gdy wieczorem wstały z barłogu, gdzie zawsze ułożone ciasno jedno obok drugiego, sypiały, nie podniosło się więcej. Nie pomogły zachęcające trącania, gwizdania, ni nawołujące chrząkania. Leżało zimne, nieczułe na głód, ni błogą ciszę nadchodzącej nocy, ni chłód opadającej rosy. W pewien czas potem rozstały się jeszcze z jednym towarzyszem sierocej niedoli.

Pozostałą dwójkę wodził „On". Był najroślejszy, najtęższy, niewyczerpany w długich marszach, a przytem więcej, niż jego bracia, ostrożny.

Przyszła jesień, obrodziła bukiew, pod opadłem listowiem było dużo smacznych tłustych żuków, ślimaków; zaczęły się nocne wyprawy na kartofliska. Życie przy pełnym żołądku odzyskało swój powab i blask, przyniosło ze sobą zapomnienie ciężkich, twardych chwil, a razem z tem — szczęście. Lecz jak wszystko na tym świecie, tak i ono nie trwało długo.

Zaczęły się chłody, dżdże, dojmujące wichry, a gdy po kilkunastu dniach jesiennej szarugi sklep niebios rozbłysnął znów miljardami gwiazd; buchtowanie, które z wieczora jeszcze szło tak lekko, z każdą chwilą stawało się trudniejsze, cięższe, wymagało większego natężenia sił, a rano mimo dojmującego bólu, jaki czuły w tabakierach, żołądki były pustsze niż zazwyczaj. Zareagowały na to po kilku lekcjach wcześniejszem ruszaniem na żer, za dnia jeszcze, gdy ziemia nie była tak dziwnie twarda, jak w nocy.

Stały się więcej ruchliwe, spoczywały krócej, poświęcając większość życia trosce zaspokojenia nigdy nie wygasającego uczucia z głodu. Ta ruchliwość i ciągłe włóczęgi sprowadziły na Niego pierwsze nieszczęście.

Oto gdy raz, buchtując, sznurowały do błotnistej kąpieli, drugi raz w życiu usłyszał grzmot strzału, a równocześnie z nim — piekący ból w łopatce.

Runął jak oszalały, odbijając się od swych towarzyszy — uboczą w dół. Rrwał, co sił, a strach i ból mnożyły je w dwójnasób. Owładnęła nim jedna myśl — uciekać. Jak długo i gdzie pędził, nie wiedział. Ów jednak piekący ból w łopatce, jaki uczuł w chwili strzału, z każdym skokiem począł dolegać coraz więcej i więcej, zmieniając się z każdą chwilą w mękę nie do zniesienia.

Siły zaczęły go opuszczać. Omijane zawsze z taką zręcznością zawały i pnie zdawały się teraz wpadać na niego. Potknął się o nie już parę razy. Na domiar złego zaczął niedopisywać wzrok; widział źle — coraz gorzej. Uczucie czczości, pustki, jakiejś apatji zaczęło brać górę nad strachem i chęcią ucieczki. Zwolnił! Uczuł w mięśniach i stawach, jakieś martwienie i sztywność; w następnej chwili stanął. — Świat zachwiał się jakoś dziwnie, drzewa zaczęły krążyć, wirować wokół niego, mgła zasnuwała oczy, która gęstniejąc coraz więcej, zmieniała się w pomrokę, w noc i... upadł.

Ocknął się z uczucieem szalonego pragnienia i bezwładu w całem ciele. Wstając, uczuł znowu ten przykry piekący ból w łopatce. Wróciła mu świadomość przeszłości.

Ostrożnie, wietrząc, począł schodząc ze zbocza w stronę, gdzie szumiał rwący potok, by ugasić owo nieznośne pragnienie. Gdy dowlókł się do wody, nie zadowolił się piciem samem, lecz wparł w nią cały swój korpus. Uczuł olbrzymią ulgę. Ból z łopatki począł stopniowo schodzić, z każdą chwilą malał, niebawem ustąpił niemal zupełnie. Mięśniom wracała powoli jędrność, zaostrzył się wzrok i węch. Wyszedł z wody świeższy, począł rozglądać się wkoło siebie i po krótkiej decyzji ruszył w górę potoku.

Niezbyt daleko od miejsca, gdzie zażył kąpieli, trafił na gęstą kępę świerkowego młodnika, obszedł ją wkoło kilka razy; zabrał się wreszcie do rycia barłogu i zaległ, kładąc w wilgotną ziemię zbolały bok.

Po paru dniach wróciły siły, wrócił apetyt, a z nim chęć szukania żeru. Niebawem doszedł do poprzedniej kondycji, łopatka przestała dolegać, lecz pamięć przeżytej przygody, pamięć pierwszego bolu zostały na zawsze. Nie dowierzał już teraz nigdy ciszy usypiającego lasu i zawsze, nim wyszedł na żer lub do kąpieli, stał długo na kraju gęstwiny, węszył, słuchał, czy nie złowi podejrzanego szelestu lub woni.

Nastała pierwsza w jego życiu zima, przynosząc ze sobą katusze głodu i chłodu, a równocześnie jakąś nieokreśloną bliżej tęsknotę za towarzystwem — za stadem. Spotykał wprawdzie już nieraz na swej ścieżce, pobratymców swego rodu, lecz nigdy nie czuł ochoty szukania wśród nich kompana.

Lecz teraz, pod wpływem tego nieokreślonego pociągu, dołączył się do pierwszej spotkanej watahy. Dłuższy czas odtąd żył w stadzie. Zobaczył w czasie tego dużo ciekawych rzeczy, wiele nauczył się od swych krewniaków. Był świadkiem gęstych waśni i bojów, jakie wiedli ze sobą patryjarchowie jego rodu. Widział strasznie popłatane szablami połcie i boki i nieraz na swojej skórze odczuł bolesne uderzenie szabli, gdy nieopatrznie, zbyt blisko przysunął się do której samury. Dzięki temu, że żył w stadzie, uszedł znów szczęśliwie śmierci, którą wniósł w knieję pogodny zimowy ranek na drugi dzień po ponowie. Leżał wówczas pospołu z innemi w ciepłym zacisznym barłogu, gdy naraz zbudziły go jakieś niesamowite postuki, poświsty, hukania, zbliżające się z każdą chwilą w kierunku pieleszy.

Za chwilę reszta zaintrygowanego stada wstała i ruszyła w przeciwnym odgłosom kierunku, szlakiem wchodowego tropu. On jak zwykle szedł ostrożnie łowiąc wiatr — za stadem.

Nie uszedł daleko, gdy nagle usłyszał znany sobie tak dobrze huk przed sobą. Odwracając się błyskawicznie w miejscu, zdołał uchwycić wzrokiem, równo z drugim hukiem sylwetkę człowieka i równocześnie rulującego przez łeb sporego wycinka. Jak oszalały rzucił się w tył i z tym impetem wpadł na rozwrzeszczonych naganiaczy... Nie zawahał się ni chwili. Czuł instynktownie, że ten piekielny hałas, że ta zgraja zagradzających drogę dwunożnych istot, nie zaszkodzi tak boleśnie, jak ten jeden, którego utrwaliła migawka jego wzroku, równo z usłyszanym hukiem. Runął więc w utworzoną przez huczków lukę i szczęśliwie wydarł się z pola obławy.

Tak to zbogacił się jednem doświadczeniem więcej. Odtąd, ilekroć posłyszał postuki i świsty nagonki, nigdy nie ruszał odrazu z miejsca.Dopuszczał obławę na kilkanaście kroków, ukryty w gęstwie świerczyny, lub przytajony za wykrotem, a następnie kilkoma potężnemi susami wydostawał się na tyły. Raz tylko jedyny o mało nie przypłacił życiem tego manewru, gdy waląc wprost w upatrzoną lukę, spotkał się oko w oko z człowiekiem, który dwa razy walnął mu też przed gwizdem. Wówczas oszalały ze strachu, a nie mając innej drogi, skoczył wprost na wroga, zwalił z nóg i wyrwał szczęśliwie.

(C. d. n.)



KALENDARZ MYŚLIWSKI

NA ROK 1931

Ukazał się Informacyjny Kalendarz Myśliwski na rok 1931, wydany przez Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich.

Kalendarz wzorowany na świetnych rocznikach myśliwskich pod red. ś. p. Sztolcmana, wydawanych przed wojną przez „Łowiec Polski", a opracowany przez wybitnych hodowców — myśliwych, zawiera niezbędne wskazówki i porady hodowlane, obowiązujące przepisy prawne, wzory prowadzenia polowań i t. p.

Wśród szeregu działów na specjalne podkreślenie zasługują działy broni i psów.

Kalendarz winien się znaleźć w rękach każdego racjonalnego myśliwego, a nadzwyczaj **niska cena zł. 4** bez kosztów przesyłki uprzystępnia wszystkim nabycie Kalendarza.

W przekonaniu, że kalendarz należycie spełni swoje zadanie i nie obciąży zbytnio kosztami pp. myśliwych, polecamy wszystkim prenumeratorom i Czytelnikom „Łowca" nabycie tego kalendarza.

Jednocześnie zwracamy się do wszystkich naszych Szanownych Czytelników, aby w imię szerzenia kultury łowieckiej żądali nadesłania im Kalendarza i zachęcili do jego nabywania.

Kalendarz do nabycia w kancelarji Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich w Warszawie, Nowy Świat 35 i w Administracji „Łowca" we Lwowie, ul. Ossolińskich 11.



Emil Sozański

członek Małop. Tow. Łowieckiego, b. członek Komisji rozjemczej Oddziału M. T. Ł., em. prokurator, Sądu okręgowego w Krakowie,

zmarł, dnia 31 grudnia 1930 r., przeżywszy lat 60.

Cześć Jego pamięci!



Śp. Dr. Jan Zbigniewicz

wieloletni członek Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego, naczelny lekarz Powiatowej Kasy Chorych w Tarnowie,

zmarł, dnia 13 stycznia 1931 r., przeżywszy lat 65.

Cześć Jego pamięci!



KORESPONDENCJE

Przypuszczając, że słonka w grudniu nie należy do codziennych zjawisk, donoszę Sz. Redakcji, że polując u p. Aleksandra Gostkowskiego w Tomicach dnia 16. XII. na zające, zabiłem słonkę (sądząc z lotu i wyglądu, postrzeloną w jesieni nie była). W tych samych Tomicach podczas polowania we wilję, spudłowano drugą słonkę.

Z poważaniem

Dominik Żaba

Wysuczka, 10 stycznia 1931 r.

Na terenach łowieckich Ordynacji Wysuckiej ubito w ciągu roku 1930 następujące szkodniki: lisów 10 (jedynie przy bażantarni), tchórzy 2, łasic 125, psów 97, kotów 128, jastrzębi 44 (pod tem mianem gołębiarz, krogulec, kania i błotniak), kruków 9, wron 171, srok 202, sojek 100 — wybrano jaj powyższego ptactwa 499. Wypłacono z tego tytułu jako strzałowe 633 zł. — Zima 1929/1930 pozwoliła zwierzynie nieco przyjść do siebie po klęsce poprzedniej, jednak nie tak jeszcze, aby wszystkie luki zapełnić. Pozostałe sarny przyszły normalnie do rozmnoży, ale że stosunkowo ich niewiele pozostało, liczy się ich obecnie wraz z młodemi około 180 sztuk na terenie leśnym 1300 ha., w czem około połowa rogaczy, tak, że jest nadzieja przy normalnej zimie na przyrost 60 sztuk na wiosnę — w lecie ubito dwa rogacze. Zającom nie dała się jeszcze grasująca motylica należycie rozmnożyć, mam jednak wrażenie, że ta się zmniejsza i rok przyszły będzie już normalny. Bażanty chowane na dziko mnożą się zawsze doskonale i wytrzymują doskonale wszystkie kaprysy naszego klimatu a nawet i ataki szkodników — jedynem złem to żyłka ich do włóczęgi a że włóczyć się mogą jedynie odemnie a znikąd do mnie, spotyka się je po ogrodach wiejskich i w lasach o kilometry całe odległych, gdzie oczywiście marnieją. Lepiej przedstawiałoby się w świeżo założonej bażantarni, ale że to rok pierwszy, wiele szczegółów jeszcze w stadjum prób, a i rok ciężki, nie dozwalający na większy wkład, nie mogę jeszcze mówić o rezultacie. Kuropatw tak jakby nie było — egzystujące 2—3 stadka podtrzymuje się, ale przy naszych podolskich zimach jest to beznadziejne. Wdzięcznemi bardzo za opiekę są dziki — od czasu, gdy stworzyłem dla nich rodzaj rezerwatu, którego granic nie wolno nikomu przekroczyć, w którym są barłogi i karma przez rok cały nie opuszczają go prawie wcale, tak, że mam nadzieję zwierza tego tak przed wojną tu licznego a potem wyniszczonego na czas dłuższy uratować — stan ich liczę obecnie na około 30 sztuk. — Dwie próby polowań w grudniu licho wypadły z powodu tak szalonej okiści, że wprost przejść nie można było lasem — 23. 12. padło 48 zajęcy a 29. 12. i 30. 12. 2 dziki i 72 zajęcy — rezultat więc żaden, ale nie może to być miarą zwierzostanu, gdyż pewnie zaledwie 1/10 część zwierzostanu wychodziła z miotów.

C. C. G.

Młynów, 3 stycznia 1931 r.

Doroczne polowanie u JWPP. Mieczysławowstwa hr. Chodkiewiczów w Młynowie odbyło się jak zwykle w dniach 29 i 30-tego grudnia. Oprócz gospodarza i domowej młodzieży, Krzysztofa i hrabianki Aleksandry, którzy to w pierwszym dniu polowania walczyli bez rozstrzygnięcia o palmę pierwszeństwa, uczestnikami byli: Pani z hr. Tarnowskich Helena Mańkowska, za-

bijająca swoje pierwsze 4 zające na temże polowaniu, Władysławowstwo Garapichowie, panowie Józef i Marcin Boguszowie, który wcielił do rozkładu niebywałych rozmiarów lisa, brygadjer pułkownik Anders, p. Bronisław Bonffatt, profesor dr. Groer, mecenas Laściński, plenipotent klucza młynowskiego p. Aleksander Gradowski; a jako kierownicy łowów p. leśniczy Halicki i objazdowy niezawodny Osiepewski.

Polowanie zdaniem gospodarza w zupełności się nie udało, gdyż ubito jedynie 96 zajęcy i 4 lisy.

Powinno było paść wzwyż 200 sztuk conajmniej, mimo dużych jak na zające miotów, szczupłej drużyny myśliwskiej i szeroko rozstawionych stanowisk.

Jednak nie wolno winić założenia łowów.

Śnieg po kolana, mimo silnej wichury, tego wroga myśliwego, okiść niebywała.

Cudów waleczności dokazywała nikła ilość naganiaczy, niestety zredukowanych ad hoc zwołanem niespodziewanie jarmarkiem na pierwszy dzień polowania, aby z zamurowanej kniei choć pewien procent wypędzić zwierzyny.

I myśliwi musieli strzelać „na prydumajkę“, bo żadne zwierzątko leśne nie chciało z ciepłych pieleszy, zawalonej śniegiem kniei wymykać na linji, lub skrzydłach czyhających na niego myśliwych.

4 widziane dziki uszły zdrowo.

Aura pod psem, wichura, zimno, mróz, knieja zamurowana. Brać myśliwska bez zarzutu, humoru nie brak; a umiejętnie zbudowany kominek w altanie śniadaniowej poprawił cieplik drużyny na popołudniowe mioty.

Wybrańcom losu, i łaskawości gospodarza danem było w dniu 2-go stycznia 1931, zapolować z pieskami na dziki. Niestety i tu myśliwi, straż i pieski nie łatwe mieli zadanie. Bałowanie się w śniegu ludzi, a co gorzej, piesków, ciętych dzikaczy, wydatne koziołki wykonane, wraz z saniami i tychże obsadą, z powodu naboju; okiść zawalonej kniei, a co najgorsze wichura, bałamutnie oddająca głos gonu psów idących za dzikami, ujemny dała rezultat. Na 24 widzianych dzików, tylko gospodarz, uszczknął, w trudnych warunkach na sztych strzelając, warchlaka, trafiając go na matematykę między oczy, na kroków kilkanaście wśród zwałów okiścią zamkniętej kniei.

On jeden wrócił z dzikiem do domu (zasłużenie), reszta, albo uszła kulom umiejętnie umieszczonym w śniegu, lub też bezkarnie, niewidzialna w zagadkowych ostępach.

Dzień prawdziwie myśliwski, niezapomniany, chociażby przyjazd do lasu, gdy leśniczy p. Halicki, z zadowolonym uśmiechem wita gospodarza, a ten podaje nam wesołą wróżbę, że dobra nasza.

Objazdowy Osiepewski melduje, że mamy grubego dzika w jednym miocie, a około 9-ciu dzików, a w nich oprócz prowadzącej samury, jakiegoś kolosa w drugim miocie; wreszcie 2 niesprawdzone pojedynki. „Matematyka“. Rezultat, radość dla tych, którzy byli dopuszczeni do pańskiego stołu, że tylko jeden dzik padł, — tyle ich jeszcze zostało, — może znowu zaproszą, będzie mniej śniegu, okiści mniej, łagodniejsza wichura, bardziej wyraźna muszka i wizerek, i więcej dzików na rozkładzie.

Avis au lecteur!

Bis dat qui cito dat, a św. Hubert niech darzy bór!

W. G. S.

Lwów, w styczniu 1931 r.

W dniach 10 i 12 stycznia br. polowano w 10 i 8 strzelb u P. Włodzimierza Szczurowskiego w Dryszczowie pod Haliczem. — Pierwszego dnia polowania padło 47 zajęcy, drugiego 17 zajęcy.

O. S.

Bełzkie Towarzystwo myśliwych polowało w dniach 11 i 12 stycznia br. w 11 i 5 strzelb w lasach miejskich bełzkich, ubijając 175 zajęcy, 9 rogaczy i 1 lisa.

Prezesem Towarzystwa jest P. Mieczysław Kruszewski, łowczym P. Adam Kapliński, który poprowadził te polowania wzorowo.

St. Kumor

Lwów, w styczniu 1931 r.

W dniach 15, 16 i 17 stycznia br. odbyło się polowanie w Ordynacji Poturzyckiej przy udziale 16 strzelb. — Padło 40 dzików, 32 zajęcy i 3 lisy. Królował Adam hr. Stadnicki z 8-miu dzikami. Wśród ubitych dzików były 2 odyńce, 7 wycinków, 8 loch i 23 warchlaków.

Polowaniem kierował osobiście Ordynat Włodzimierz hr. Dzieduszycki i prowadził je znakomicie, przy pomocy Dyrektora dóbr p. Tadeusza Horoszkiewicza.

Przepiękne te łowy i serdeczna gościnność Gospodarza pozostawią u uczestników niczem nie dające się zatrzeć wspomnienia.

Wznawiają one bowiem przedwojenne tradycje kniei poturzyckiej i dają żywe świadectwo temu, że ich Czcigodny Gospodarz nie szczędzi trudu i kosztów, by utrzymać opinję tej kniei jako pierwszorzędnej kniei dziczej.

St. K.

Lwów, w styczniu 1931 r.

W dniu 18 stycznia br. polowano w 13 strzelb w Pniatynie, gdzie w 9 miotach ubito 35 zajęcy. — Do rogaczy, których widziano dużo, nie strzelano.

St. Madeyski

Lwów, w styczniu 1931 r.

Dnia 23 stycznia b. r. odbyło się polowanie w Pikułowicach w lasach dzierżawionych od Kapituły lwowskiej przez P. St. Kumora i ubito w 16 strzelb 129 zajęcy, 2 rogacze i 1 lisa.

X. Y.

Polowanie w Targowicy pow. Horodenka u pp. Wiktorów Abrahamowiczów, dnia 27 grudnia 1930: strzelb 7, padło 127 zajęcy i 2 lisy.

W Zadubrowach pow. Śniatyn, u pp. Zdzisławów Czaykowskich w dniach 29, 30 grudnia i 2, 3 stycznia 1931. Pierwszych 2 dni 14 strzelb, następnie 7 strzelb; padło ogółem 563 zajęcy, 2 lisy, 31 kogutów 3 gołębiarze i 1 krogulec.

W Rewczach hr. Erazma Korytowskiego:

1) Petlikowce pow. Buczacz 23 grudnia 1930: strzelb 7, — lisów 5, zajęcy 39 (straszna okiść).

2) Glinna pow. Buczacz 15 stycznia 1931: strzelb 8 — 1 dzik, 2 lisy, 85 zajęcy.

3) Zaleszczyki małe pow. Buczacz 16 i 17 stycznia 1931: strzelb 9 — 3 dziki, 5 lisów, 294 zajęcy, 4 koguty.

4) Jankowe — Małaszowce pow. Tarnopol: 8 strzelb, 1 dzik, 13 lisów, 174 zajęcy.

Razem dzików 5, lisów 25, zajęcy 592.

W rewirach tych stan zwierzyny lepszy niż w najlepszych latach przedwojennych. Na każdym kroku widzi się usilne staranie gospodarza o podniesienie stanu zwierzyny — straż lasowa doskonale zorganizowana — a polowanie wzorowo prowadzone. Stan sarn w Zaleszczykach bardzo dobry, w każdym miocie sarny były widziane.

S. P.



Kronika

Rezerwat dla łosi

Dyrekcja Lasów w Białowieży komunikuje, że na terenie N-ctwa Wiadotupickiego, w powiecie Kosowskim, na Polesiu, na podstawie zezwolenia Ministerstwa Rolnictwa z dnia 6 listopada 1930 r., utworzony został rezerwat dla łosi.

Rezerwat ten, położony w północnej części wspomnianego N-ctwa obejmuje oddziały 5, 6, 15, 16, 17, 18, 19, 20, 34, 35 i 36 o łącznej powierzchni 2.420,12 hektarów. Całkowite wyłączenie od użytkowania omawianych terenów rokuje utrzymanie i rozmnożenie się łosi, które tam przebywają w ilości około 30 sztuk.

kierownik Dyrekcji
St. Modzelewski

Zajście z kłusownikiem

Z okazji polowania w powiecie Oświęcimskim, opowiadano mi następujące autentyczne zdarzenie, ilustrujące stosunki panujące w tamtych stronach, i potwierdzające, jak mało opiekuje się policja rewirami myśliwskiemi. Panu K. dzierżawcy dóbr, znanemu hodowcy zwierzyny i dobremu myśliwemu, przed kilku dniami zameldowano, że w jego rewirze, czterech kłusowników poluje w biały dzień z nagonką. Nie mając na prędce, gajowych pod ręką, udał się sam, z jednym tylko człowiekiem, nie uzbrojonym, do tego rewiru. Z poza krzaków doszedł na bliską metę do kłusownika, — ten jednak mimo wezwania do złożenia broni, nie tylko tego nie uczynił, lecz atakującego wyżła pana K. zastrzelił, a z drugiej lufy dał strzał, przez ramię, nie odwracając się przodem, w kierunku pana K., lecz na szczęście, strzał poszedł po nad głowę tegoż. Pan Krz. w obronie własnej, chcąc uprzedzić, by kłusownik ponownie nie nabił dubeltówki, wystrzelił do niego cztery razy z małokalibrowego (6 mm) automatycznego Winschestra, trafiając kłusownika w nogi i podbrzusze, poczem tenże się przewrócił, lecz wkrótce wstał i potrafił zajść o własnych siłach do domu, skąd go odwieziono do szpitala; życiu jego nie grozi jednak niebezpieczeństwo.

Jeżeli policja państwowa nie otrzyma nakazu ostrego z góry, by gorliwie zajęła się kłusownikami, to kultura łowiecka, która w tych stronach stała na wysokim poziomie, zupełnie zaginie, i życie właścicieli rewirów łowieckich stale będzie w niebezpieczeństwie.

A. S. Ch.

Odezwa

Upraszamy uprzejmie Myśliwych naszych, którzy w tym sezonie strzelali polskim prochem bezdymnym „Sokół", by byli łaskawi oświadczyć się co do jego wartości strzelniczej. Czy nie zdarzały im się t. zw. zaciągi, (long feu) wystrzały z podwójnie słyszaną detonacją, najpierw spłonki, następnie prochu.

Oświadczenia powyższe prosimy przesłać pod adresem biura M. T. Ł. Załatwienie prośby naszej leży we własnym interesie Myśliwych, gdyż na podstawie ich zażaleń będziemy mogli żądać od fabryki poprawy w materjałach, t. j. w prochu, względnie w spłonce.

Na Ołtarz Św. Huberta w dalszym ciągu złożyli: J. Madeyski zł. 30,—.

Redaktor odpowiedzialny: Albert Mniszek
Nakładem Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego
Drukarnia Księgarni Polskiej Bernarda Połonieckiego, Lwów, ul. Chorążczyzny 27 — Telef. Nr. 85 - 16